XVII. Kraków, 15 maja 1914 r. Nr. 10.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 kor., 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:
W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21



— Jaśnie panie, a deser?
— Za deser, to ja już komu innemu zapłacę!

Złośliwy wyborca.

Odbywało się zgromadzenie przedwyborcze, gdzie, nie powiem, bo to nikogo nie obchodzi. Przemawiał jeden z kandydatów, spotykał się jednak ciągle z przerywaniami słuchaczy.

Wreszcie było mu tego już zawiele, postanowił się zemścić, rzecze więc ze złośliwym uśmiechem:

— To jednak ciekawe, że ciągle słyszę głos „i—a“... Kto to z szanownych zgromadzonych taki głos wydaje?

Jak zaś wiadomo, jest to głosik naszego sympatycznego osiołka.

Chwila ciszy, wreszcie ktoś odzywa się z galeryi:

— Pan kandydat jest w błędzie! To przecież własne jego echo!...

Zawsze ten sam.

Pan profesor, dr. Roztrzepalski, znany jest ze swego roztargnienia.

Onegdaj zdarzyło się, że do pracowni jego wpada przerażona służąca, wołając:

— Panie profesorze!... Panie profesorze!... Proszę przyjść, ale zaraz... W mieszkaniu są złodzieje!

Pan profesor przerwał pracę, namyślił się chwilę, by głupstwa nie powiedzieć, poprawił okulary, wreszcie rzekł:

— Teraz jestem zajęty!... Poproś tymczasem do salonu!

Podpora starości.

Dziś każdy do kochania
Przeróżnę prawa rości —
Wziął stary młodą żonę,
Podporę swej starości!

W tem stadlę niedobranem,
Tragedya była cała,
Zę skutków można sądzić,
Żę źlę go podpierała.

Poczciwy ten staruszek,
Po różnych przejściach wielu,
O kulach chodził dawniej,
Dziś jeździ zaś — w fotelu!

Podlotki między sobą.

— Ogromnie się cieszę, że właśnie dziś, kiedy mamy po raz pierwszy schadzkę w Parku Jordana, wieje taki szalony wicher!

— A to dlaczego?

— Bo nasi wielbiciele będą nas mogli poznać z najlepszej strony!

W pracowni.

— Mama powiedziała, proszę pana, że nie mogę pozować całkiem rozebrana...

— No... kolczyki może pani w każdym razie w uszach zostawić!

Myśl kokotki.

— Czytam często, że są ludzie, którzy chowają pieniądze w pończochach... Jaka to nieostrożność!... Ja z pewnością zgubiłabym je zaraz, tyle razy dziennie zdejmuję je i wdziewam.

Dekadentka.

Gdy była w pełnym rozkwicie,
Skracała stanik swój skrycie,
Bo rzekła, światu ja muszę
Pokazać nagą swą duszę.

Dziś, gdy, niestety, zaprędko
Czas zrobił ją dekadentką,
Starannie duszę tę tuli
W obłoki gazy i tiuli.

Aha...

— A cóż było powodem, że cię panna Lola zaskarżyła o obrazę honoru?

— Jedno, jedyne lotne słowo!

— A jakie, jeśli można wiedzieć?

— Nazwałem ją „gęsią“...

Wyrzuty.

Żona: O! Ty nie będziesz nigdy dla mnie tak dobrym, jak mój pierwszy mąż... Nie zrobisz dla mnie tego, co on!

Mąż: No... Kto wie!... A o cóż ci chodzi?

Żona: Umarł w czternaście dni po ślubie i zostawił mi czterdzieści tysięcy majątku...

Errare humanum est.

— Wiesz, stara, ile razy wyjeżdżamy gdzieś za granicę, to zawsze biorą ludzie nowego kamerdynera pani hrabiny za jej męża!

— Mój kochany! Cóż w tem dziwnego!... Przecież i pani hrabina myli się nieraz sama.

W teatrze ludowym.

— Chciałem, dyrektorze, prosić o zaliczkę...

— Z miłą chęcią! A czy ma pan drobne, by wydać resztę z korony?

W kancelaryi teatralnej.

Mama (przedstawiając dyrektorowi córkę, kandydatkę na scenę): Ale proszę bardzo, niech pan dyrektor powie mi otwarcie, czy ona ma talent... Bo jeśli nie, to już wolę, aby została uczciwą dziewczyną!

Ma słuszność.

— Powinna pani wyjść stanowczo za mąż! To radzi pani doświadczona kobieta!

— I ja jestem tego samego zdania, na nic się to przecież nie zda dopóki tego nie powie jaki niedoświadczony mężczyzna!

Między sługami.

— Kasiu! Miałabym dla ciebie doskonałe miejsce, jako mamka u mecenasa!

— Szkoda! Dlaczegoś mi tego wcześniej nie powiedziała? Teraz nie jestem do tego przygotowaną!

Zimna krew.

Na balu zwraca się pewien jegomość do swego sąsiada i, wskazując na starszą damę, stojącą opodal, rzecze:

— Patrz pan, co za wstrętne czupiradło!

Ten zaś obrzuca go piorunującym wzrokiem i cedzi przez zęby:

— Panie! To moja żona!...

Nie tracąc zimnej krwi, rzecze niefortunny interpelant:

— Ja też chciałem tylko powiedzieć, że moja jest przecież jeszcze brzydsza!...

Z wykładu.

— Storczyk błotnisty rośnie, proszę panów, tylko w miejscach bagnistych. Jest to, że się tak wyrażę, świnia między roślinami!

Położenie bez wyjścia

Zakochała się panienka
W pięknym oficerze,
Widywano ją z nim codzień
W lasku na spacerze.

Wnet oficer zrobił dęba,
(Zwykła uczuć zmiana),
Czem panienka była mocno
„Skompromitowana“.

Czy też teraz wyjdzie za mąż?
Ach! to kwestya inna:
Z jednej strony: wyjść nie może,
Z drugiej zaś — powinna!

Zniżone ceny.

(Humoreska sezonowa).

Z chwilą nastania pięknej wiosny rozpoczyna się też okres najróżnorodniejszych kwest, festynów, dni kwiatka i tym podobnych przedsiębiorstw, z których czysty dochód przeznaczony jest na cele dobroczynne.

Filantropki nasze, a tych nie brak, które w czasie karnawału starały się swemi nóżkami obetrzeć łzy nieszczęśliwym i przysporzyć grosza dla ratowania cierpiących, w inny sposób urządzają zamachy na nasze kieszenie.

Któż nie przeklina owych dni kwiatka, tak się każdemu dających we znaki? Nie przejdziesz ulicą kilku kroków, by cię nie opadła cała czereda nadobnych kwestarek, pakujących ci kwiatek w dziurkę od surduta i wystawiających swe skarbonki.

— Proszę o grosz! — słyszysz na każdym kroku, a broń cię Boże, gdybyś tak chciał być posłusznym i dać rzeczywiście halerza... Zbierająca obrzuci cię pogardliwym wzrokiem, a towarzyszący jej młodzieniec wydmie tylko wargi, jak gdyby chciał się przekonać, czy tam już rosną wąsy, mruknie coś pod nosem i w ten sam sposób wyrazi ci swe nieukontentowanie.

Najszczęśliwsi jeszcze ci, którym udało się zdobyć puszkę, grasują z nią po ulicy, plantacyach i publicznych lokalach, sami jednak uwolnieni są od składek, puszka owa stanowi bowiem talizman, chroniący od napaści innych kwestujących.

I — obym był fałszywym prorokiem — nadejdzie może czas, że w dniu kwiatka znajdą się kiedyś na ulicy sami „puszkarze“ i „puszkarki“, nie będzie zaś nikogo, ktoby mógł być ofiarą, składającą swój ciężko zapracowany grosz na ołtarzu dobroczynności publicznej.

Nowe mody damskie wpłynęły także ujemnie na wynik finansowy dni kwiatka, spętana w kolanach suknia nie pozwala dobroczynnej damie na zbyt zaciekłe ściganie ofiary.

Komitety, zajmujące się rozmaitemi instytucyami, opierającemi swą egzystencyę głównie na publicznej ofiarności, ogarnęła też czarna rozpacz.

Co robić?... W kasie pustki, a tutaj trzeba koniecznie pieniędzy, dobrodziejów zaś, którzyby wsparli jakimś datkiem, u nas bardzo mało.

Krakowska dobroczynność ogranicza się na chętnym udziale w różnych komitetach, z zastrzeżeniem przecież, by to nie było połączonem z wydatkami, a dało sposobność do zabawienia się cudzym kosztem.

Na walnej naradzie, jaką specyalny komitet ratunkowy zwołał niedawno temu, zapadła prawie jednomyślna uchwała, że należy dać spokój dniom kwiatka, jako już przeżytym i niepopularnym, większą natomiast uwagę zwrócić na festyny pod gołem niebem, zwłaszcza, że wiosenna i letnia pora zapowiada się bardzo pięknie.

Tak przynajmniej twierdzą meteorologowie, to samo mówią niezawodne przepowiednie pogody, które z roku na rok przedrukowuje się w kalendarzach.

Aby jednak festyn się udał, musi komitet postarać się o odpowiednie atrakcye i rozreklamować je należycie przy pomocy oddanej sobie prasy, inaczej grozi klapa...

Nieodzowną częścią każdego festynu jest loterya fantowa, gdzie można wygrać coś ładnego, jeśli ma się kogoś znajomego w komitecie.

Na to jednak ludzie już nie lecą!

Dla młodszych jest karuzel i huśtawka, krążnik i strzelnica, dla starszych pawilony z bufetem, zaopatrzonym obficie przez nasze dobroczynne gosposie, rozchodzi się jednak o to, by wynaleźć coś, coby potrafiło zająć wszystkich, tak starszych, jak i młodszych, a było odpowiednio emocyonującem, jak tego wiek dwudziesty wymaga.

Fatalne omyłki druku.

Z mowy: Oto, moi panowie, **wąż**, godny naśladowania. Niechaj on będzie naszym w•orem.

Z kroniki: W **M**asażu **P**ikolasza wydarzył się onegdaj nieszczęśliwy wypadek.

Z listu studenta: Stryjał się kłaniaszek i kazał pana profesora zaprosić na niedzielę na kurczone pieczęta.

Z podziękowania: Czcigodny Konsyliarzu! W uporczywem mem cierpieniu szukałem napróżno porady u naszych i zagranicznych znakomitości, Ty dopiero wyk**ie**rowałeś mnie należycie.

Z nekrologii: Człowiek ten żył z ła**p**ki dobroczynnych naszych matron.

Z podręcznika balneologii: Woda ta zawiera dużo j**a**du, do kąpieli więc należy używać **p**anien porcelanowych lub drewnianych.

Ze sprawozdania: W czasie pochodu zwracał na siebie ogólną uwagę chorąży, niosący w swych spracowanych dłoniach czerwony sz**k**anda**ł**.

Z kroniki: Następnie k**o**t zarzucił obwinionemu str**ą**czek na szyję.

Honorowa sprawa.

(Dyalog).

— Więc wybierasz się znowu do Francyi?

— Tak jest! Najprzyjemniejsze stamtąd wspomnienia wywiozłem, chciałbym je odświeżyć! Byłem nawet i świadkiem pojedynku!

— E!... Daj mi spokój z tymi francuskimi pojedynkami. Przeważnie kończą się bezkrwawo!

— Jesteś w błędzie! Właśnie ten, którego byłem świadkiem, skończył się ciężkiem uszkodzeniem jednego z uczestników. Doznał złamania dwu żeber!

— Co?... Od uderzenia rapirem?

— Kto mówi o rapirze?... Złamano mu dwa żebra, gdy obaj pogodzeni zapaśnicy rzucili się sobie nawzajem w objęcia!...

Rekord.

— Czterdziestodniowy post to jest jeszcze nic! Ja już widziałem coś ciekawszego!

— Naprzykład?

— Kobietę, która wogóle nic nie jadła, bo nie miała za co, a mimo to jeszcze karmiła!

Ocalona cnota.

(Piosenka warszawska).

— „Bądź moją — szepce on —
na wieki!...“
— „Bądź moją aż po zgon
daleki!...“
— „Bądź moją“! — szepcze on!...
. . . .
A ona:
— „Pójdź w moje aż po zgon
ramiona!“

Zdumiał się młody smyk,
to słysząc,
Że tak mi pójdzie w mig —
mógł przysiądz,
Więc myśl zgubiwszy swą
w tej chwili,
Rzekł: — „Możebyśmy co
wypili?...“

I przyniósł kelner wnet
kielichy...
I poszedł tête á tête
szept cichy!...
Słuchając serca drgnień,
wciąż pili,
A kiedy nastał dzień —
skończyli...

Gdy kelner rano wlazł
z rachunkiem,
Ich śpiących zastał wraz
nad trunkiem...
Musiano do domu nieść
ich dwoje!...
. . . .
Tak ocalili cześć —
oboje!

Klak.

Z tajemnic buduaru.

Mąż: Tak! Widziałem! Doktor pocałował cię wczoraj wieczorem!... Czyś go do tego ośmieliła?
Żona: Skądże znowu! Nie było wcale trzeba!...

I to racya!

Kokotka (do siebie): A to osioł! Przyniósł mi swoją najnowszą rozprawę o fizyologii i patologii miłości, tak, jakbym tego nie znała z własnego doświadczenia!

Sufrażystka przed obrazem Wenery.

— Mój Boże! Gdybym ja ongiś była miała takie ciałko, nie byłabym została sufrażystką!

Złośliwy.

— Więc pan, baronie, w tak podeszłym wieku chcesz stanowczo wstąpić w związki małżeńskie?... Jakiż powód, jeśli wolno zapytać?

— Hm... Chciałbym mieć koniecznie potomstwo!

— Wstydź się pan! Jak można w ten sposób wyrażać się o swej przyszłej żonie?...

Na reducie.

Facet (klękając przed zamaskowaną damą): Pani! Zaklinam cię! Pokaż i resztę!...

Dobry środek.

Pan baron prosi swych znajomych, by jak najczęściej zapraszali jego bogatą ciotkę na wycieczki automobilowe...

— Czy ona tak lubi tego rodzaju przejażdżki? — zapytał go któryś z przyjaciół.

— Nie — odparł na to — ale ja chciałbym wcześniej zostać jej spadkobiercą!

C. i k. dyagnoza.

Pan doktor Wikidal, c. i k. lekarz pułkowy, jest znanym służbistą i sprawy z pacyentami, zgłaszającymi się do tak zwanej „marodewizyty“, załatwia bardzo prędko, nie wdając się w niepotrzebne dysputy.

Pewnego dnia staje przed nim żołnierz z piątej kompanii i skarży się na reumatyczne bóle w prawem ramieniu.

Pan doktor spojrzał do „marodebuchu“, potem na chorego, wreszcie rzekł:

— Ho! ho! Znamy się na tem! Bydlę nie chce być tamborem! Kapral! Ścisła dyeta!... *Abtretten!*

Nazajutrz powtarza się ta sama scena, z tą tylko różnicą, iż zanim pacyent otworzył usta, pan doktor pyta:

— Możesz bębnić?

— Melduję posłusznie, nie, bo...

— Stul pysk! Ścisła dyeta dalej!... Już ja ci dam radę!...

Na trzeci dzień to samo.

Pan doktor zwraca się znów z zapytaniem:

— A co? Będziesz bębnił?

Żołnierz zaś na to:

— Melduję posłusznie, nie, bo ja jestem trębacz!

I teraz dopiero wylazło szydło z worka, a pan doktor lekko zbaraniał, pokazało się bowiem, że w książce przez pomyłkę zapisano „dobosz“, zamiast „trębacz“...

Na festynie więc, z którego dochód przeznaczono w połowie na ubogich, wstydzących się pracować i biednych murzynów, nawiedzonych śpiączką, by zaopatrzyć ich w budziki, wprowadzono nowość, jakiej dotąd Kraków nie widział, namioty, w których uproszone panie sprzedawały całusy na cel dobroczynny.

Jest to wprawdzie zwyczaj niemiecki, my jednak bardzo chętnie naśladujemy naszych serdecznych przyjaciół z nad Sprewy... Oburzali się niektórzy, że to nie wypada, by kobieta publicznie pozwoliła się pierwszemu lepszemu, nawet nieznajomemu, za pieniądze całować, udało się przecież przekonać uprzedzonych, że cel jest tak szlachetny... Zamilkli, jeszcze zagniewani, każdy jednak dał sobie słowo, że, jeśli tylko pogoda dopisze, na festynie się pojawi.

W dniu festynu, który zapowiedziały metrowe afisze i sążniste artykuły w dziennikach miejscowych, w ogrodzie od samego południa zaczęły się gromadzić tłumy publiczności ze wszystkich sfer społecznych.

Ciągnęli starzy, ciągnęli młodzi, obie płci były bardzo licznie reprezentowane, największy ścisk panował jednak obok namiotów, w których sprzedawano całusy.

Niejeden stary emeryt, patrząc na to, kiwał tylko smutnie głową i mówił do siebie:

— Mój Boże! Jak się to czasy zmieniają! Pamiętam festyny z przed lat czterdziestu i pięćdziesięciu, kiedy to Ogród Strzelecki był jedynem miejscem, gdzie się odbywały tego rodzaju zabawy... Sprzedawano tam całuski, ale z piernika, wyrobu Molęckiego lub Czyńskiego, sztuka po cencie, nawet i po dwa za centa... A dziś?... Pfe!... Aż włosy stają na głowie, gdy się pomyśli nad tem, jakie teraz panuje zgorszenie!

Komitetowi, ozdobieni kolorowemi szarfami, przebiegali ogród we wszystkich kierunkach, roztrącając gapiącą się publiczność i doglądając, czy wszystko idzie, jak należy... Aż serca im rosły na widok oblężenia pawilonów. Wędka szczęścia szła znakomicie, poczta Amora niosła również bardzo piękne dochody, dzieciarnia oddawała się z zapałem jeździe wierzchem na osiołkach.

Słyszałeś tu rozbawione głosiki i okrzyki:

— Patrz, mamusiu! Jaki ładny osiołek! Taki duży, jak nasz tatuś...

Niestety, o ile obok pawilonów z całusami panował ścisk, o tyle wewnątrz były pustki. Jak się okazało, transakcye były tutaj słabe, klientów odstraszały zbyt wysokie ceny, taksa bowiem za jeden całus wynosiła aż pięćdziesiąt koron, nie kładąc naturalnie tamy dobroczynności.

Sprzedawanie taniej było z urzędu zabronionem, wyraźnie zastrzeżono, że zniżki, jakiekolwiekby one być miały, są stanowczo wykluczone.

W jednym z pawilonów siedzi jakaś śliczna blondyneczka, istna krew z mlekiem... Ledwie to wyrosło z dziecka, a już zakwitło, jak róża.

Podchodzi ku niej jakiś podstarzały lowelas, z monoklem w oku, suwający z trudnością swe pedały, a poprawiając fryzurę, nadwyrężoną silnie grzebieniem czasu, pyta przez nos:

— Hm! Ile kosztuje całus?

Zapłoniła się biedaczka i odrzekła, spuszczając oczka:

— Pięćdziesiąt koron!

— Pięćdziesiąt?... A dziesięć całusów?

— Pięćset!

— To niema rabatu żadnego? Jeśli się kupuje coś hurtem, to powinno być taniej!

— Bardzo żałuję! Komitet postanowił, że nie udziela się żadnych zniżek!...

Starowina mlasnął tylko, przypominając sobie swe młode lata, w których tyle pieniędzy wydał na całusy. Niestety, wszystko minęło bezpowrotnie, portmonetka jego próżna, na taki zbytek pozwolić sobie nie może, zwłaszcza, że nawet ma nadzieję, iż z dochodu festynowego, dzięki protekcyi komitetu, także i dlań coś

O młodym kasztelanicu i okrutnym kasztelanie.

(Ballada prawdziwa).

Nocą, wśród łuczywa błysku,
Pijanych wrzasków, brzęku szklanic,
W cnej kompanii — na zamczysku
Hulał młody kasztelanic!

„Hej! nalewać wina, szelmy! —
Gromkim głosem służbię powię,
Dziś się bawmy i weselmy,
Bo mój stary jest w Krakowię!“

Drogiem winem obrus zlewa,
Za kielichem tłuczę kielich —
Przy nim dziewka czarnobrewa
Cudnej twarzy — ócz anielich!

Fundamenta drżą zamczyska
Od okrzyków, brzęku szklanic —
Piję wino — dziewkę ściska —
Hula młody kasztelanic!...

Niczem w kiermasz lub przy święcię,
Gwar, śpiewanię, hałas srogi,
Gdy wtem, jakby na zaklęcię,
Pan kasztelan wchodzi w progi!

I złapawszy go za ucho
Tak się ozwię w ton ponury:
„To asindziej z tą dziewuchą
Śmię bezcześcić ojców mury?!...“

Wydał służbię polecenia,
By synowi wsypać baty,
A sam z tego oburzenia
Dziewkę wziął do swej komnaty!...

Nasze sługi.

— Bój się Boga, Kasiu! Jak można przyrządzać kąpiel dla dziecka bez termometru?

— Termometru nie trzeba! Jeśli dziecko po włożeniu do wanny zesinieje, wiem, że woda jest za zimna, jeśli się zaczerwieni, z pewnością jest zbyt gorąca!

Niedyskretny napis.

W jednym z kościołów parafialnych na wielkim ołtarzu znajdował się napis:

„Panie! Przebacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią“.

Z polecenia księdza proboszcza napis ten przed każdym ślubem starannie się zasłania.

Przytomny papa.

— Pańska córeczka jest klasyczną cyklistką!..

— No... no... Tak starą jeszcze nie jest!

Świadectwo.

Poświadczam niniejszem, iż córka moja, Zofia, uczenica klasy szóstej, z powodu bólu żołądka nie mogła na dziś zrobić Pana Tadeusza

Z poważaniem *Katarzyna Gwizdek.*

Z autentycznych opowieści.

Pewien uczony profesor, bawiąc na wsi u krewnych na wakacyach, jechał wózkiem do lasu. Po drodze jeden z koni zaczął wydawać ze siebie pewne nieartykułowane głosy.

Chcąc sobie z woźnicy zażartować, profesor trąca go w ramię i pyta:

— A co ten koń gada?

— Nie wiem, proszę łaski pana — odpowiada Wojciech — bo nie umiem po łacińsku!...

Podczas odpustu w pewnej miejscowości wyraził się kaznodzieja w oratorskim ferworze, że żadna kobieta nie dostanie się do nieba.

Oburzone tem niewiasty wniosły skargę do konsystorza, a winowajcę wezwano, by się wytłumaczył.

— Naukę tę wyjąłem z Pisma świętego — bronił się oskarżony — w objawieniu św. Jana napisano przecież wyraźnie, że w niebie była cisza około pół godziny... A czyby to było możliwem, gdyby tam były kobiety?

Dziesięcioletni, ale nad swój wiek rozwinięty Jaś, spaceruje z ciocią, starszą już panną, po plantacyach.

Między obojgiem wywiązuje się następująca rozmowa:

— A czemże się ciocia tak zachwyca?

— Urokiem tej cudnej wiosny!

— A ile też ciocia takich wiosen dotąd widziała?

— Trzydzieści, mój Jasiu!

— Co?... Trzydzieści? To ileż lat ciocia była ślepa?

Bardzo skąpa niewiasta, gdy mąż jej opuścił ten padół płaczu, dała mu do trumny na drogę wieczności najgorsze spodnie, które miały tył zupełnie wydarty i przez mole zgryziony.

Jej sąsiadka, widząc to, robi uwagę:

— Zlitujcie się, Maciejowa! Jakże chudzina stanie na sądzie ostatecznym...

Ona zaś na to:

— Stanie sobie gdzieś w kącie, plecami do ściany, to nie będzie widać!

Poczciwy.

— I pan sam odbył tę piękną podróż, bez żony?

— Tak! Ale co wieczór zapisywałem ją do księgi obcych, więc tak, jakby tam była!

Po amerykańsku.

— Powiedz mi, w jaki sposób mógł ci się oświadczyć ten hiszpański hrabia a ty go mogłaś zrozumieć, skoro ty nie umiesz po hiszpańsku, a on po angielsku!

— Obeszło się zupełnie bez tego! On mi pokazał swoje drzewo genealogiczne, a ja jemu moją książeczkę czekową i wszystko było w porządku!...

Szlifowanie.

W jednem z miasteczek galicyjskich uchwaliło grono światłych pedagogów, że należy starszych, a nieokrzesanych uczniów gimnazyalnych wprowadzać w towarzystwa mieszane, by się tam mogli bodaj trochę oszlifować.

Słysząc to, rzecze jeden z obywateli:

— Ostatecznie zgadzam się z wnioskami, jednakowoż oświadczam z góry, że nie pozwolę, by albo moja żona, albo córki miały służyć dla nich za *osełki.*

Nasze podlotki.

— Moja mamo! ja opowiem
Pod sekretem coś mamusi,
A gdy mama to usłyszy
To z pewnością śmiać się musi!

Gdy wracałam dziś zę szkoły,
Jak przystało uczenicy,
Jakiś pan (przystojny dosyć)
Zaczepił mnię na ulicy!

— I cóż dalej? — pyta mama
A niepokój przejął mamę,
— A nic! bo uciekłam przed nim
W pierwszą lepszą jakąś bramę!

— Chwała Bogu! chwała Bogu!
Z głębi piersi matka wrzasnię.
— I rzecz dziwna — mówi córka —
On w tym domu mieszka właśnię!

Niech mamusia sama powię,
Jakie dziwne to spotkanię!...
A jak on ma eleganckο
Urządzone pomieszkanię!...

kapnie... Bo i on jest biedny, pracować się wstydzi, zresztą, choćby się i nie wstydził, to nie potrafi...

Po nim zjawił się jakiś wyperfumowany burżuj, ozdobiony brylantami, niczem ruchoma jubilerska wystawa.

I on zapytał:

— Ile kosztuje całus?

— Pięćdziesiąt koron...

— To drogo! Teraz takie ciężkie czasy!... Skąd tu wziąć pieniędzy, gdy lokatorowie nie chcą czynszu płacić!...

— Trudno! Tak komitet postanowił... Ceny stałe.

— Niech stracę! Proszę, oto pięćdziesiąt koron!

Panienka pochyliła główkę, zamiast usteczek pozwoliła pocałować swój zarumieniony policzek... Mlasnął, jak niedźwiedź, gdy się dobierze do barci.

Był to początek, ale widocznie bardzo szczęśliwy, do namiotu wszedł bowiem jakiś studencik w mundurku gimnazyalnym z czterema złotymi paskami na kołnierzu.

Jeden z członków komitetu, który prowadził tutaj kontrolę, widząc, z jakim zapałem młody człowiek całuje, aż zacierał z radości ręce, wyobrażając sobie, jaki to z tego całowania biedni odniosą pożytek...

Nagle jednak dziewczątko odskoczyło od młodzieńca, wołając:

— Pst! Mama idzie!

Młodzian zniknął, jak kamfora, weszła mama, zamieniła z córką kilka słów i rychło opuściła namiot, a jej miejsce zajął studencik.

Ale widocznie nie miał szczęścia, za chwilę spłoszył go znów ojciec panienki.

Komitetowy był wściekły.

— Czego ten bałwan przeszkadza!... Tam w kasie powinno być już z tysiąc koron... Ale, skąd ten smyk ma pieniądze?... Młodzi się widocznie kochają, starzy studenta pędzą z domu, skorzystał więc ze sposobności. Bardzo dobrze... Toć woda na nasz młyn! Będzie większy dochód na cele dobroczynne...

Nadszedł wieczór, festyn miał się ku końcowi, komitet zaczął zamykać rachunki i odbierać kasę z poszczególnych pawilonów.

Wynik przeszedł oczekiwania najśmielsze, zewsząd znoszono całe stosy banknotów, złota, srebra i niklu...

Do pawilonu pięknej blondynki zgłasza się przedstawiciel komitetu, ten sam, który przeprowadzał kontrolę i rzecze z miłym uśmiechem:

— Proszę panią o kasę!

— Służę!... Oto pięćdziesiąt koron...

— Co?!... Pięćdziesiąt?... Czy pani kpi ze mnie?

— Owszem, ale nie! Oto pięćdziesiąt koron...

— To za jeden całus! A ja widziałem sam na swe własne oczy, że tu było przynajmniej pięćdziesiąt całusów!

— Widział pan?

— Tak widziałem!... Ten student...

— Właśnie! Inne zniżki są nieważne, o tem wiem, ale byłam przekonana, że studenci w mundurkach i wojskowi, niżej feldwebla, mają zawsze prawo korzystania z cen zniżonych!...





Kubita, to jest z przeproszeniem jak bombonierka. Gdy się wyje słodycze ze środka, zostaje si tylko pudło...

⊙ ⊙

Jeden z moich znajomych, ogromny filantrop, gdy umirał, zostawił taki testament: „Długów mam moc, majątku żadnego, resztę zapisuję po równej połowie na cele dobroczynne i dla swych spadkobierców“.

⊙ ⊙

Powiadają, że Kohn jest arystokrata, a ja powiadam, że on jest ludowiec. Ja sam wydżałem, jak on kupował dla swoji kucharki chustkę za dwadźeszcza koron, a ona jest przecie całkiem ordynarne dżywke wiejske.

⊙ ⊙

U kubity wszystko jest fałszywe, prawdziwe są tylko oczy, ale i one bardzo często kłamią.

⊙ ⊙

Jeśli kto romansuje z mężatkami, to tak samo, jakby był współpracownikiem w obcej redakcyi.

⊙ ⊙

Na świecie są przecież szczęśliwe małżeństwa, podobnie, jak zdarza się jedna główna wygrana na kilka miliony losy.

⊙ ⊙

Zdarzył się wczoraj bardzo przykry wypadek... Pewien jegomoszcz, przechodząc ulicą, potknął si, upadł i złamał sobi po prawej stronie dwa... jak si nazywa... państwo pewni myśli, że żebra... ale ni... to były dwa cygara!...

⊙ ⊙

Kużda kubita ma przecież jakiej podniosłe strony.

⊙ ⊙

Długi płaczycz, to nikt nie lubi! Jest jednak jeden dług, który musi być zapłacony, a to jest dług naturze.

⊙ ⊙

Jaka jest różnica między murzynem, a Francuzką? Państwo nie wi?... To ja powim! Murzyn ma czarnego króla, a Francuzka... prezydenta.

⊙ ⊙

Mój przyjaciel, Salzstangel, to si minął ze swem powołaniem. Un powinien być pszczelarz, bo un ciągle szedży w ulu.

⊙ ⊙

Wielu ludzi nie żeni si tylko z tego powodu, że przy rozwodzie napotkaliby na wiele trudności.

⊙ ⊙

Źle jest mieć młody żony, która jest chora, ale jeszcze gorzy mieć stary żony, która jest zdrowa.

Mały Józio o Wielkim Krakowie.

I

Mój papa jest tu radcą,
więc znam ja miejskie sprawy,
powiedzieć dużo mogę —
Posłuchaj, kto ciekawy.

Usłyszysz tutaj o tem,
co wiedzą tylko rzadcy,
prawdziwy poznasz Kraków —
Wszak jestem — synem radcy!

Więc najpierw wiedz, że ludzi
niedobrych jest tu dużo —
o siebie tylko dbają,
swym sprawom tylko służą.

A radców nie szanują
i dobrze im nie życzą,
choć ci na całe gardło
o *„dobru miasta“* krzyczą.

Wdzięczności nie zna wcale
zła ludność tego grodu —
zazdrości radcom sławy,
zazdrości im dochodu.

Ot, z życia przykład mały
przytoczyć mogę śmiele —
jak memu papie płacą
źli współ-obywatele:

Mieszkamy na Wsi Nowej
(papa ma tutaj willę —
ot, taką kamieniczkę,
z ogródkiem małym w tyle).

Obok mieszkają sami
cni papy przyjaciele,
z nich każdy kamieniczkę
i gruntu ma niewiele...

Kupili to niedawno,
gdy wszystko było tanie,
gdy grunta stały próżne,
nie było kupców na nie.

Lecz papa naprzód wiedział,
że Wielki Kraków będzie —
więc także tanie place
kupował, gdzie mógł, wszędzie.

Dziś papa za parcele
już setek chce tysięcy —
i pewnie weźmie tyle,
a może jeszcze więcej...

Któż na tem stracił, proszę?
Wszak każdy mi to przyzna,
że: *my* gdy mamy grosze —
bogatsza jest ojczyzna —

Bogatsze miasto całe,
bogatsza każda gmina...
więc *Nowa Wieś* zyskała —
wie każda to dziecina.

By grunta jeszcze w górę
poszły — od czegóż głowa?
Nowa ma biegnąć wkrótce
tu *linia tramwajowa.*

Papa ją chce przed domem
mieć — słusznie — bywa w mieście,
raz z własnej swej ochoty,
w sprawach urzędu wreszcie.

Lecz źli mieszkańcy gminy
chcą — takie tępe głowy! —
by przez ulicę główną
poszedł ten tramwaj nowy.

Bo dużo tam jest domów
i dużo mieszka ludzi...
(Już papę ta hołota
swoją głupotą nudzi.)

Więc cóż, że ludzi dużo?
Mają do siebie blizko —
Do miasta niech nie jeżdżą,
gdy takie tu mrowisko!...

Wśród wielkiej takiej ciżby
i o wypadek łatwo —
Jak tramwaj jeździć może
między ich liczną dziatwą?

A u nas ludzi mało —
Trzeba, by więcej było,
by domów przybywało,
by wszystko się wznosiło...

Lecz któż przełamać zdoła
niemądre ich zasady?
Grożą, że nie wybiorą
papy do miejskiej rady —

Takie to ojcom miasta
wyrządza się przykrości —
Dobrze mi mówi papa,
bym strzegł się ludzkiej złości.

Gdy kilku *mądrych* rządzi
To zaraz krzyczą: klika!
Chcą wiedzieć, co ci robią,
(A także — co zarobią)
Każdy swój nos w to wtyka...



W kawiarni.

(Podsłuchane).

— Mecenas ma wstrętnie fioletowy nos!... Czy to pana nie żenuje?

— Bynajmniej! Nos nie, tylko to, że każdy dureń zwraca na niego uwagę...

— Prawda, mężusiu, że w tym roku wyślesz mnie na lato do Krynicy?

— Nie, moja droga! W tym roku ja sam będę z tobą romansował!

— I pan powiadasz, że jesteś ognistym kochankiem? Nie wierzę temu, bo zawsze szukasz cienistych miejsc...

Przy egzaminie aptekarskim.

— Ile gramów gliceryny dasz pan za dwadzieścia halerzy?

— To zależy, czy sługa ładna, czy brzydka...

W menażeryi.

Przed budą ogromne zbiegowisko. Właściciel menażeryi, stare, grube Niemczysko, zachęca P. T. Publiczność do zwiedzania zakładu:

— Panowie! — woła. — Proszę wstępować! Desent centy wstępa i prezent... Można widzieć wspaniały okaz grzechotnik amerykański, trzy lat, jak stary, a siedm, jak złapany. Od głowy do ogona siedm metrów, od ogona do głowy ośm... razem piętnaście!... Jest także krokodyl afrykański. Ojciec jego australski kenguru, matka hyena amerykańska...

Słysząc to jeden ze zgromadzonych gapiów trąca w bok drugiego i mówi:

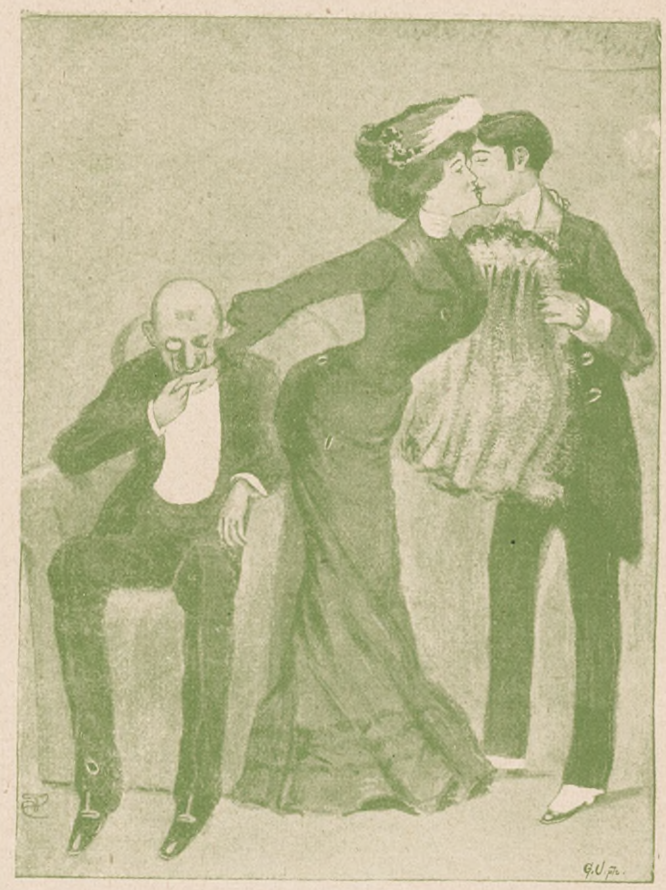
— Ty! Co ten Swob plecie?... Przecie to nie może być!

A drugi z powagą na to:

— A czemu nie?... Przecie twój ojciec był szewc z Krowodrzy, matka praczka ze Zwierzyńca, a ty jesteś ślusarz w Krakowie...



— Nie wyobraża sobie mama, jak wzruszyła mnie chwila ślubu... Pragnęłabym, by powtórzyła się jak najprędzej!



— Masz słuszność, moja żonusiu! Służbie powinno się zawsze okazywać życzliwość i obchodzić z nią, jak z rodziną!



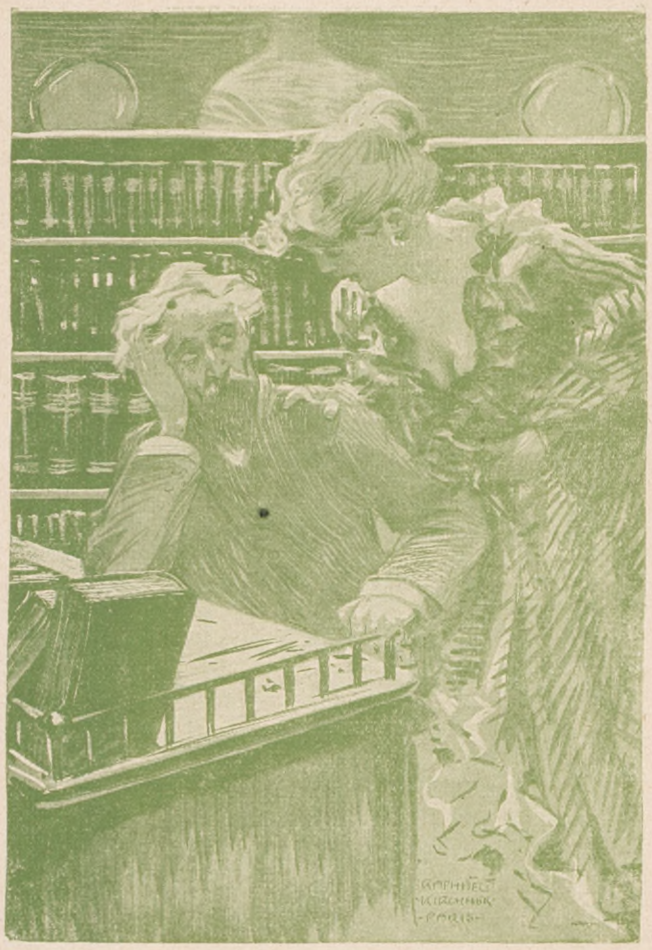
— Proszę mi dać spokój! Ja się do tego nie godziłam!

— Jakto... przecież moja żona przyjęła cię „do wszystkiego".



— Jeśli pani mnie wysłucha, nie opuszczę jej do śmierci...

— Tego się najbardziej obawiam!



— Nasz proces rozwodowy potrwa co najmniej rok!

— Naturalnie!

— Sądzę jednak, że w tym okresie odbędzie się kilka prób pojednania... Na nie cieszę się najbardziej.



— Jak długo jest ci wiernym twój narzeczony?

— O to, jak długo, to mniejsza! Ważniejsze, jak często!



— Koteczku, przyznaję otwarcie, że straciłem wszystko... Pozostałaś mi tylko ty!

— O jeśli straciłeś wszystko, w takim razie i mnie także...



— Niech panna Zosia nawet skłamie, ale proszę mi złożyć przysięgę, że jest mi wierną, gdyż w przeciwnym razie odbiorę sobie życie!



Ferdek Eleuteryk.

Bardzo fajnie był sie misionc maj zaczynajoncy, bo takim zimnem, a nawet śnigiem, że nawet naszym młodym poetom zamarzło natchninie, słowiki przestały śpiwać (podobno jeszcze nie zaczeny, bo ich bez granice nie przepuścili) a zakochane pary musiały se dać spokój z moransami na świżym powietrzu, by sie nie narazić na zakatarzenie.

W onym czasie mnie przecie było goronco, był to bowiem okres przedwyborczy, w którym przygotowuje sie naród do godnygo spełninia obowionzków obewatelskich, to jest nadziania sobie kantyny zadarmo kiełbasą wyborczą.

Od trzech tygodni nie było dnia, aby bodaj ze trzech kandedatów nie zapukało do moich drzwi, przyłazili zazwyczaj nie w porę, gdym był zajęty czynnościami domowemi, skoro bowiem monż i żona to jedno ciało, ten monż powinien żonie być pomagajoncym.

Tygo wymago moja Mańka, a ja jestem jij posłusznym, choć tygo posłuszyństwa nie ślubowołem.

Kandedackie wizyty tak mi obrzydły, że przybiłem na drzwiach miszkanio kartke z napisem: „Domokrążcom, żebrakom i ubigajoncym sie o mandat do Rady mijskij wstęp wzbroniony pod grzywną do dwustu koron, względnie karą hereśtu".

Równocześnie przyknajoł do Krakowa ze Lwowa pon Popowicz, który jest jedynyrołem od Banku austryjacko-węgierskigo i wybroł sie w podróż po Galicyji, aby obglondnonć na własne kapowidła one pomyślne konjonktury, na których pon Ślachtoski był se kark krenconcy.

Wyrukowała na banhof cało Izba handlowo, by godnie przyjonć takigo dygnitorza, poknajoł nawet i Aron Gajer, w tyj myśli, że może po drodze do sie zrobić jakiś bodaj maluśki geszefcik.

Pon Popowicz obglondnon Kraków na wszyćkie strony, dziwiuł sie, że na kużdym kroku tyle widzi wschodnich rysów i orlich nosów, ale mu wytłumaczyli, że przecie z Krakowa do Azyji to ino „kacenszprung".

Śniadanie u pana prezesa Federowica bardzo mu smakowało, powiedzioł tyż, głaszcząc sie po żywocie:

— Ho! ho!... Jak widze, to wy sobie tutaj galanto żyjecie! A tak skomlicie, że bida!...

A Ponkanty mu na to:

— Bida jest, to prowda, ale nie wszyndzie! Som jeszcze w Krakowie, nie chwalöncy sie, którzy umiejom chodzić kole jenteresu i majom hopy...

— Bardzo to piknie! Sondze, że i u panów znajdzie sie taki dobrodzij, jak wideński Frank, który doł trzy miljony na cele dobroczynne.

— Oho! Takich głupich u nas nima! Jeśli mom hopy, to dla siebie...

Pytali sie tyż pana jedynyroła, co bedzie z kredytem, a on odpowiedzioł, że Derekcya idzie zawsze na renke kupcom i przemysłowcom, zniży wienc stope procentowom jeszcze o ćwierć, a może i o pół procentu, ale hopów nie bedzie dawać, pewnijsze bowiem som w kasie bankowyj, niż u obewateli.

Pokłonili sie pokornie, jak ongiś żydy przed złotym cielcem, a niejeden westchnon goronco...

Z kolei rzeczy chciołem na złość być ekscellencyi L e o w i robioncym i gdy powiedziano, że marszałkiem galicyjskim powinien być dymokrata, zgłosiułem zaroz swom kandedature, zrzekając sie na rzecz kraju miszkanio i połowy pensyi i obiecujonc, że nie bede im we Lwowie kłopotu robioncy, a krajem potrafie rzondzić bez telefon z Krakowa.

Odpowiedzieli mi krótko a wenzłowato:

— Takich nam niepotrza! Dymokracyjo do laski marszałkowskij jeszcze nie dojrzała!

Nie, to nie! — pomyślołem sobie. — Żyje już czterdzieści lat bez parasola, to sie na starość obeńde i bez loski. Niech żałują, ze mnie byłby klawy marszałek, a z mojij Mańki marszałkowo... Już widze, jak fajnie potrafiłaby wyczyniać honory domu i całygo kraju podczas przyjenć oficyjalnych...

A może ud) mi sie zostać radcem mijskim?... Jeszcze nie wiem, bo hopów na to nie dołem, ale różne przyjaciele poletyczne były obiecujonce, że mi bendom swe głosy całkiem gratis i franko oddajonce.

Ostatecznie nimom nic przeciw tymu, rajcować potrafie, czego nie umie, to sie prendko naucze, bo głowe nosze na karku nie tylko od parady, abo noszynio kapelucha. Kto wienc jest prawdziwie miasto kochajoncym, komu w piersi bije serce prawdziwygo Poloka, ten stanie przy urnie wyborczyj jak jeden monż i odda swój głos jedynymu niezależnymu magistracko-kahalnymu konserwatywnymu dymokracie, a takim jest niżyj podpisany

Ferdek Eleuteryk,

cysarsko-króleski kandedat na radce.

Biała chusteczka.

(Ballada rycerska).

Rycerz Edgar dzielnej ręki,
Pełen sił i animuszu,
Wielbił Inez cudnę wdzięki,
Zakochany wyżej uszu!

Przepasany lubej szarfą —
Z udręczenia i tęsknoty
Pod jej oknem chodził z harfą
I wystraszał nocą koty!

I na sercu tak mu dziwnię,
I marzenia snuł bez liku,
Żę chusteczką białą kiwnię
Donna z swego pokoiku!

Nię została bez nagrody
Miłość czysta i prawdziwa,
Widzi w zmroku rycerz młody,
Żę chusteczką białą kiwa!

A więc za zlę mu nię weźcię,
Żę na schody rżnię w tę pędy,
Krzycząc: „Luba! więc nareszcię!
O! najdroższa! Czy to tędy?!"

Drzwi roztworzył niecierpliwię,
Skoczył za próg, lecz zarazem
W nagłej zgrozię i podziwię...
Sercę mu zamarło głazem!

I z trudnością oddech łapię
Przy odkryciu niespodzianem:
Piękna Inez na kanapię
Siedzi z jakimś starym panem!

Życię zdało mu się pustką!
Schował harfę wę futerał,
To pryk stary kiwał chustką,
Gdy spocony kark obcierał!

Mądre myśli zakatarzonego.

Platonizm w miłości, to to samo, co w handlu próbka bez wartości.

Nawet bardzo lekka kobieta może ważyć kilkaset funtów.

Uczony i lew salonowy całe życie poświęcają na zbadanie nieznanych tajników.

Czy kobieta ma przyjaciela, najłatwiej o tem dowiedzieć się od jej przyjaciółki.

Kobieta, to jak tabaka, póki świeża, kręci w nosie i działa na oczy.

Małżeństwo to instytucya, w której z raju przechodzi się do czyśćia, a następnie kończy się życie w prawdziwem piekle.

Małżeństwo, to rozprawa karna, w której przyjaciel domu gra rolę obrońcy obwinionego.

Każda kokota może być wierną... bodaj godzinę!

Kobiety szanują mądrych, a kochają głupich.

Mąż jest piecem, kobieta ogniem, a przyjaciel domu miechem.

I duet miłosny bywa albo wspaniałą artystyczną kreacyą, lub tylko nędznem rzępoleniem.

Kobieta może upaść nawet wtedy, gdy leży.

Najmądrzejszem, czego można się spodziewać z ust kobiety, jest całus.

Mężczyzna pragnie zwykle być pierwszą miłością kobiety, kobieta ostatnim romansem mężczyzny.

My robimy z kobiet bóstwa, one z nas osłów.

Miłość jest jasna, a wzdycha zwykle do ciemności.

Droga do sypialni małżeńskiej prowadzi przez kościół, wiele jednak kobiet próbuje przez sypialnię dostać się do kościoła.

Piękna kobieta zbiera w młodości wspomnienia, by sobie mieć potem czem starość osłodzić.

Doświadczona kobieta oceni już po pierwszym pocałunku, co mężczyzna wart.

„Gdy się niema tego, którego się kocha, kocha się tego, którego się ma". To zasada kobiet, wyjeżdżających bez męża na świeże powietrze.

Słowik, to prolog, bocian, to epilog.

Kobieta jest dobrym przewodnikiem ciepła, bo się prędko rozpala.

Szczęście w małżeństwie znajdują przeważnie kawalerowie w roli tak zwanych przyjaciół domu.

Kokieterya podoba nam się u żon, ale cudzych.

Najlepszą nagrodą za pierwszy pocałunek, jest drugi.

Odwagę w stosunku z kobietami zastępuje najlepiej bezczelność.

Warszawa z lotu Bociana.

Kronika dwutygodniowa.

I.

Nim wyruszy gród Syreni,
do pól, lasów, gór i plaży,
w miejskich murach brak zieleni,
czem innem się równoważy:
Więc zieloność mamy główek,
więc głupota wkoło kwitnie,
więc ludziska — choć przednówek —
szumią niby kłosy żytnie.
Na ulice, na werandy
płyną fale wciąż wiośniane,
a rej wodzą wśród tej bandy
„ablegerki kawiarniane"...
Stąd w kronice dziś Bociana
zamiast plotek i nowości —
zajdzie taka oto zmiana:
kawiarnianych damy gości!..

II.

Semadeni... Pod filary,
gdy swe zamknie giełda wrota,
finansistów spieszą chmary —
jak na... stały róg kokota.
Tu pan Ludwik swoje plotki
kolportuje, licząc zyski;
dyskonterom tu nagniotki
pan Maks depce, plajty blizki;
w redaktora tutaj todze
Jean Jacques zbiera wciąż udziały,
i fantazyi bujnej wodze
tu rozpuszcza Moryc mały...
Gdy przy wspólnym siądę stole,
by tej zwrotki zrobić finał,
trudno zgadnąć się mozolę,
czy to... knajpa?... czy... kryminał?...

III.

A u Lourse'a w tymże czasie
ponad morzem czarnej kawy
mecenas przy mecenasie
obgaduje „dzienne sprawy".
Każdy język ma, jak klinga,
obtoczony, wyostrzony:
każdy skazałby... Bispinga,
bo... nie oddał mu obrony!
Kto zaś bardziej zręczny, hardy,
kto nie szuka w sądach chwały,
temu kodeks tu bilardy
zastępują przez dzień cały.
Długie tutaj spędza chwile
sław palestry naszej wiele:
każdy w dziury pcha tak bile,
jak... do kozy klientele...

IV.

Inne „sfery" masz w „Bristolu" —
zwanym również „Monte Jojne"...
Przy stolików tu półkolu
wiedzie życie wielce znojne
żon bankierskich liczna rzesza...
Co za bukiet?.., Same... Róże,
a brylanty każda wiesza,
jak cebule — takie duże!...
Na ich bujne patrząc biusty —
sprawiedliwość przyznać każe,
że ten przemysł mleczny tłusty
mają w rękach ex-pachciarze.
Co w ich jednak robi wianku
„Dnia" redaktor — pełen swady?...
Czyżby chciał w żydowskim banku
zdyskontować swe zasady?...

V.

Trochę dalej, bo w „Empirze"
nie postają „naszych" nogi,
bo się tutaj świecą krzyże,
dźwięczą szable i ostrogi...
Jeśli zajdzie który czasem,
siedzi w ciszy i pokorze,
bo ma respekt przed pałaszem,
że... wystrzelić czasem może!
Wojowniczość zato wielka
tu niewiastom się udziela,
pięknej płci przedstawicielka
każda tu oczyma strzela...
krwi rozlewu jednak wcale
nie notują dotąd dzieje,
bo przy pierwszym już wystrzale
co innego tu się leje...

VI.

Teraz wwiodę was znienacka
w raj na ziemi Mahometa,
gdzie w siedzibie dawnej Jacka
dla płci męskiej tkwi podnieta,
gdzie termometr się miłości
djablo w górę wznosi w lecie —
takie bowiem ma własności
rtęć, jak dobrze wszyscy wiecie...
Stałym gościem tutaj bywa
mąż czcigodny, znany w mieście:
krok stateczny, głowa siwa,
a wytworność w każdym geście!
Gdy doń czasem się ośmieli
kto swój zwrócić wzrok zdziwiony —
odpowiada: „Wielbicieli
nie spotykam tu mej żony!..."

VII.

„Udziałowa"... w każdej porze —
czy to z ranka, czy z wieczorka —
siedzi aktor przy aktorze,
przy aktorce zaś — aktorka...
Wielkie śnią im się wawrzyny,
wielkie role, wielkie gaże,
wielkie gesty, wielkie miny,
w blask wielkości zdobne twarze.
Że talenty jednak małe,
choć ambicye mają duże,
więc przez życie pewnie całe
będą... wielcy w... „miniaturze".
O aktorkach tylko cała
„Udziałowa" mówi słodko,
że niejedna „taka mała"
już dziś wielką jest... kokotką!...

VIII.

W „Nadświdrzańskiej" na tarasie
w poobiednich godzin parę
rezydują ci, co w prasie
jako gęsi rządzą szare.
Tu reporter do kroniki
sensacyjne wieści zbiera;
tu polityk psuje szyki
wojsk Meksyku dla „Kuryera";
teatralni tu wzmiankarze,
jak wosk miękną dla aktorek —
i w wesołym tak rozgwarze
mija każdy podwieczorek,
a że zsiadłem mlekiem pasie
każdy kałdun, co się zmieści,
nie dziw przeto, że ład w prasie
wciąż od siedmiu jest boleści!

IX.

Na tarasie w Alej cieniu
romantyczne siedzą parki,
co przy pierwszem wiosny tchnieniu
już miłosne czują ciarki...
Tu poetów cała zgraja,
opiewając maju czary,
mazagranem się upaja
i nim poi swe ofiary,
by gdy miną już rozkosze,
które z pełnej jedli miski,
redakcyjne mnożyć kosze,
a w... przytułkach znów — kołyski...
Tem się jednak różnią one
płody wieszczej tej twórczości,
że... gdy pierwsze... poronione,
drugie — żyją dla... przyszłości!

X.

Do kompletu pozostała
„Café", co się zwie „Polonią" —
co chociaż się tak nazwała,
ludzie jednak od niej stronią...
Ruch tu wzmaga się wieczorem,
gdy z rozkazu swej zwierzchności
cały zarząd z dyrektorem
grać zaczyna rolę... gości!
Że kabaret to nielada —
(któż odmówi mu uroku?!)
więc Warszawa cała gada
o tym dziwnym „five o clock'u",
szkoda, że się pomysł nowy
ten stosować nie da stale,
bo... dyrektor pomysłowy
ma siąść wkrótce w... kryminale!...

XI.

Nim Bocianie moje pióro
umiejscowię znów w ogonie
i z warszawskich nowin furą
do Krakowa znów pogonię,
czynię wszystkim dziś wiadomem,
że w najbliższe wplotę zwrotki
coś, co wstrząśnie strachu gromem
i świętoszków i dewotki...
bo ujmować nie chcąc sławy
świetnej naszej magnateryi
od Bispinga zacznę sprawy
pierwsze zwrotki nowej seryi —
bo, choć wiele wiedzą świadki,
prawda nie jest ujawnioną,
rozwiązanie zaś zagadki,
jest w Bociana mocy pono!...

Klak.



Przyjaciel sportu.

— Więc otrzymałeś pan dziesięć tysięcy koron za skaleczenie podczas katastrofy automobilowej?

— Tak jest! A na cóż obróciłeś tę sumę?

— Kupiłem sobie automobil!

Co to, to nie!

Obrońca: Trudno... Ja na to nie poradzę... Musisz pan być przygotowanym, że dostaniesz ze trzy miesiące... Chyba, gdyby udało się wykazać *alibi*.

Zbrodniarz: Co to, to nie! Dostałbym wtedy, co najmniej, rok!...

Poczciwy.

— Czy to prawda, że twój kasyer uciekł?

— Tak! Dmuchnął do Ameryki, zabierając ze sobą sto tysięcy.

— A są może o nim jakie wiadomości?

— Tak! Na wypadek śmierci ustanowił mnie swym uniwersalnym spadkobiercą!



Z listów Hermogenesa Klapy.

Szanowna Redakcyo!

Sprawy bałkańskie były zawsze mą piętą Achillesową, zupełnie tak samo, jak kolegi Berchtolda, który od dłuższego czasu drapie się ciągle w ową piętę, ale bez widocznego skutku!

Zamiast więc w odwiedziny do Durazzo, prosto z Korfu wyjechałem do Abbazyi, gdzie miał się zjechać austryacki minister spraw zagranicznych ze swym włoskim kolegą, panem markizem San Giuliano. Miano omówić sprawy, obchodzące trójprzymierze i zastanowić się nad tem, kto będzie ponosił koszta ojcowstwa Albanii i płacił alimentacyę.

W tak ważnej chwili nie mogło się naturalnie obejść tam bezemnie, zwłaszcza, że potrzebowano trzeciego do taroka, a ja jestem specyalistą w łapaniu pagata. Pan Berchtold przypomniał mi więc w sam czas, że w tych dniach miejsce ma przy jego boku, nie w Durazzo, które na mnie poczeka.

Znalazłem się więc w Abbazyi, konferowałem z obu kierownikami zagranicznej polityki, grałem w taroka i lawntennisa, pomagałem układać depeszę do Bethmanna-Hollwega, słowem, przez dwa dni zwijałem się, niczem owa historyczna mucha w rosole.

Pan markiz jest bardzo sympatyczny, jako rodowity Włoch lubi makaron i płeć nadobną, na polityce zna się lepiej od Berchtolda, który nie jest nawet godzien, by rozwiązać rzemyk u trzewika jego! A nosi rzeczywiście sznurowane.

Polubiliśmy się od pierwszego wejrzenia, obiecał, że odwiedzi mnie w Krakowie, chciałby bowiem poznać naszą stolicę w którejś ongiś rezydowała jego rodaczka, królowa Bona i słynny Smok wawelski.

W imieniu prezydyum Rady miejskiej podziękowałem za obietnicę i zapewniłem, że *ex re* przybycia urządzi się wspaniały bankiet w Starym Teatrze i tak miłego gościa gorąco przyjmie zimnemi przekąskami i jeszcze zimniejszym szampanem, który znów podrożał dzięki równowadze politycznej, wymagającej ciągle nowych zbrojeń.

Po odjeździe San Giuliana prosił mnie ekscelencya Berchtold, bym mu dopomógł w redagowaniu czerwonej księgi, którą chce przedłożyć delegacyom, niestety, nie mogłem zadość uczynić jego prośbie, równocześnie bowiem otrzymałem telegram od czarnogórskiego Nykity, bym, ile sił starczy, spieszył do Cetynii, gdzie mnie gwałtownie potrzebują.

I to powód, że owa „czerwona księga“ wybadła dość pstro, pan Berchtold, jak się pokazało, jest lichym politykiem, ale jeszcze gorszym redaktorem i nie umie obchodzić się z nożycami i gumą arabską.

Powodem zaproszenia mnie do Czarnogóry było posiedzenie komisyi finansowej skupczyny, na którem przekonano się, że budżet musi się zamknąć przeszło trzymilionowym deficytem. Konieczną jest reorganizacya finansów krajowych, do czego potrzeba będzie powołać specyalistów, a do grona ich ja właśnie należę.

Król ze zmartwienia wychudł, jak szczypa. Gdy mnie zobaczył, westchnął, kichnął i zawołał żałośnie:

— Ratuj Klapa! Ty jedynie możesz być tym drągiem, który mnie wyratuje! Trzy miliony deficytu!... Czy wiesz, co to znaczy?... Dziś, choć pierwszy dawno minął, jeszcze mi listy cywilnej za maj nie wypłacili... Czy masz jakiś projekt?

— Naturalnie! Cały worek!

— No... więc jazda!...

— Przedewszystkiem więc podnieść podatki, zaprowadzić do nich dodatki, niech będzie, jak u nas w Austryi...

— Głupiś, kochanku! Kto będzie płacił, kiedy tu sami biedacy...

— Teraz ja powiem: głupstwo! Sprowadzić tylko od nas z Galicyi ze trzech inspektorów podatkowych, już oni dadzą radę...

— Oj... nie! Nie dadzą!

— To urządzić dzień kwiatka, zainicyować popołudniowe niedzielne czarne kawy na wzór Syndykatu krakowskich dziennikarzy, wreszcie ale to już ostatnia deska ratunku, rozparcelować Czarnogórę, tak, jak Kraków grunty pofortyfikacyjne...

— Tak! I tak samo, jak u was, nikt ich nie kupi!

— No, to ja już na to nie poradzę!

— Myśl, może co wymyślisz!...

— To będzie trudno... Choć, wie wasza królewska mość co? A gdyby tak udać, że zaczynamy się zbroić i myślimy o wojnie? Berchtold się przelęknie i obieca znowu kilkanaście milionów...

— Niestety, obieca tylko! Czy wiesz, że on mi dotąd owych trzydzieści milionów nie wypłacił?... Powiada, że i u was pustki w kasie!

— I jeszcze jakie?... Wobec nich próżnia Torricellego to zero!... Zróbcie zresztą tak, jak robi Kraków! Zaciągnijcie krótkoterminową pożyczkę, która znajdzie pokrycie w długoterminowej, zaciągnąć się mającej... Albo założyć salon gry, naśladując w tem Krynicę, która w ten sposób ratuje kulejące swe finanse...

— Ha, namyślę się, ta ostatnia myśl podoba mi się szczególniej, w ten sposób ożywi się i ruch turystyczny do Czarnogóry!

— I jeszcze jak! O Galicyę zapytywał się już nawet jeden Japończyk!

— W takim razie: *gemacht!* A teraz chodź na jednego... Na frasunek dobry trunek.

I poszliśmy na śniadanie, po niem zaś wyjechałem zaraz do południowej Serbii, dokąd się udał Pasicz, rzekomo na lustracyę kolei żelaznych.

Ja jednak wiem z prywatnego źródła, że ma tam zjechać się z greckim Venizelosem i odbyć z nim tajemną naradę...

Ale się zdziwi, gdy mnie niespodzianie zobaczy!

Ja wiem, co w trawie piszczy i intrygować nie pozwolę! Jak jestem Klapa i Hermogenes moje imię!...

Tymczasem — adieu!

Klapa.



Sprawiedliwy podział.

...Wysłał jej mistrza od obrzędów,
By się zgodziła... Wy już wiecie,
Nie obiecywał jej urzędów,
Ani mamony na tym świecie,
Ani brylantów... Brylant na co?
W lombardzie by go dyabli wzięli,
Lecz kazał przyrzec tej ladaco,
Że *jednę z koron* z nią podzieli!

Ale, gdy przyszła pora owa,
Rzekł król, bez wstępu, bez wykrętów:
„Monarcha dotrzymuje słowa..
Masz tu dwadzieścia i pięć centów!“

Dyplomatka.

— Wiesz, Zosiu, pytał mnie Stefan, czy to prawda, że twoje włosy są farbowane?

— Szelma! I cóż ty na to?

— Ano, nic! Powiedziałam mu tylko, że nie byłam wtedy u ciebie, gdyś je kupowała!

Szczyt roztargnienia.

Pan profesor, podczas wykładu w żeńskiem gimnazyum, zapomniał się do tego stopnia, iż zamiast zdjąć okulary, które mu zaszły parą, wyjął z ust sztuczną szczękę i zaczął ją energicznie czyścić swą kraciastą chustką.

Sprzeczności.

W facetcę się kochało
Aż dwóch frajerów naraz,
Którego z nich wysłuchać,
To Wandy był ambaras.

Bo do pierwszego sercę
Ciągnęło ją bezwiednie,
Jakby go uszczęśliwić,
Dumała Wanda wę dnie.

Źlę samej być na świecie,
To smutny los sierocy —
Jak z drugim się załatwić,
Myślała Wanda w nocy...

Lecz poco się, dziewczyno,
Serduszko twę kłopoce?
Dnię — poświęć dla pierwszego,
A dla drugiego — nocę.

In illo tempore...

Ongiś, kiedy to nasze miasteczka rządziły się jeszcze prawem magdeburskiem i miały prawo ferowania wyroków, zdarzyło się, że sąd ławniczy, jeśli się nie mylę w Lipnicy Murowanej, skazał na śmierć przez powieszenie pewnego zbrodniarza.

Ba... był na miejscu mistrz, który potrafił skrócić doczesną pielgrzymkę winowajcy, nie było jednak odpowiedniego instrumentu, zwanego powszechnie szubienicą, powaga sądu nie pozwalała zaś na to, by aktu sprawiedliwości miano dokonać na pierwszej lepszej gałęzi.

Lipniczanie są oszczędni, uradzili więc, że nie opłaci się robić niepotrzebnych wydatków na sprawienie tego przedmiotu i wysłali poselstwo do sąsiedniego Czchowa z prośbą o pożyczenie i obiecując zwrot po dokonaniu egzekucyi.

Rada czchowska, otrzymawszy ofertę Lipniczan, zebrała się na specyalne posiedzenie i odpowiedziała odmownie, twierdząc, iż: „szubienica ta jest przeznaczona tylko dla nas i dla naszych dzieci“.

W tym czasie, gdy Kraków był jeszcze wolnem miastem, miał raz burmistrza, który przestrzegał bardzo przepisów porządku i irytował się tem ogromnie, iż niektóre przekupki, sprzedające na Rynku jarzyny, potrzeby swe naturalne załatwiają w załamaniu muru Sukiennic.

Trzeba zaś wiedzieć, że w owym czasie nie było w Krakowie Friedleinówek, ani Leówek, nie tylko betonowych, ale nawet drewnianych, wszystko hołdowało zasadzie: „pod gołem niebem“.

Zakrwawiło się serce burmistrza, postawił więc w tem miejscu strażnika i wydał polecenie, aby doprowadzał do magistratu każdą winowajczynię, przyłapaną na gorącym uczynku.

Pewnego dnia rano idzie sobie pan burmistrz na spacer i widzi, że właśnie w zakazanem miejscu jego własny strażnik zajęty jest tem, czemu miał przeszkadzać!

Z podniesioną laską rzuca się więc na niego i woła:

— Ty łotrze! To ja cię tu na to postawiłem?

A ten, stękając:

— Melduję posłusznie! Ja chciałem tylko tak... na wabia!

Szczery.

Mąż: To jednak ciekawe, że zazwyczaj najwięksi durnie zaślubiają najpiękniejsze kobiety...
Żona: Ej... ty podchlebco!

Także przedstawienie.

— Cóż? Nie pokażesz mi swej żony!
— Owszem! Zaglądnijże mi do gęby!
— A to po co?
— Bo ona mi już oddawna kością w gardle stoi!

Z tajników małżeńskich.

— A z czegóż to, Maciejowa, mąż wasz ma takie siniaki po całej twarzy?... Czy może gdzie upadł?
— Ej... nie! Proszę łaski pana, on wrócił wczoraj po północy do domu, więc ino spytałam się bestyą, gdzie był tak długo...

Na ulicy.

— Czy mogę pani towarzyszyć?
— Owszem! A czy pan muzykalny?
— To zależy od tego, na jakim instrumencie...

O czem myślał?

— Więc pan jest nauczycielem?
— Do usług pana dobrodzieja... wiejskim!
— Dzieci pan ma?
— Obecnie trzydzieści! Dawniej miałem pomocnika, a teraz muszę sam tak ciężko pracować!

Panna Ziuta.

Panna Ziuta, cud dziewczyna,
Miała oczy Cherubina,
Sprawiała to atropina...

A jej włosy, niech kto szuka
Równie czarnych piór u kruka...
Taką była jej peruka.

Ząbek każdy, perła czysta,
Kość słoniowa!... Oczywista,
Miał zasługę w tem dentysta.

A biust miała, jak rzeźbiony,
Z przodu, z tyłu, z każdej strony
Było na niej znać watony.

Taką była panna Ziuta,
Od czupryny aż do buta,
Nie dziw więc, choć się natęża,
Że nie znajdzie wcale męża,
Bo z nich każdy prawdy szuka,
A tu tylko sztuka... sztuka!...

Dobra rada.

Sędzia (do małżeństwa oskarżonego o bójkę na ulicy): Pfe!... Wstydźcie się! Porządni ludzie takie rzeczy załatwiają w domu!...

Rozgarniony chłopak.

Pięcioletni Kazio, jedna z naszych nad wiek rozwiniętych pociech, widząc ojca, wychodzącego z domu, pyta:
— Tatusiu! A dokąd tatuś idzie?
— Do kino! Mój mały! — odpowiada zagadnięty.
— No! No! — kiwa malec głową. — Nie myślałem, że tatuś taki głupi, choć tak stary!

Za kulisami.

— No, cóż?... Jakże ta nowa debiutantka?
— Surowa... ogromnie surowa jeszcze!
— Bój się Boga! Tylu ją dotąd kucharzy gotowało i jeszcze surowa?...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Włodzimierz Zenowicz. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego



— Powiadają, że nasz lud stoi na nizkim stopniu oświaty... Ja widzę, że tak nie jest, bo nawet, ot taki sobie zwyczajny chłop, a ma poczucie piękna!